

W kubańskiej pustyni i puszczy

- *Mój drogi* - mówił prałat św. Kościoła Rzymskiego, *porywanie się na pisanie historii współczesnej jest nonsensem. Należy pisać pamiętniki. Dużo i dokładnych. Z nich właśnie kalejdoskop sam się ułoży we wzór za sto lat. No, może trochę dłużej. Ja też zacznę pisać wspomnienia, szczególnie o poprzednim pokoleniu, kiedy już ostatecznie położę się do łóżka przed śmiercią. Będzie to za kilka lat. Pamiętniki będą nazywały się „Współcześni mojego ojca”*.

Szliśmy podwórzem Biblioteki Watykańskiej. Niebem szły deszczowe ale mało groźne chmury wczesnej rzymskiej zimy. Dookoła stał przypadkowy i przez to harmonijny „mille-feuille” architektury i idei. Lekki nalot turystów i szwajcarskich gwardzistów i pomniejszych monsignorów.

Przeszliśmy do następnego tematu. Prałat z ogniem ukazywał zawilóści charakteru - męskiego i upartego - Gertrudy: zawsze trudno jest zrozumieć o co babom właściwie chodzi, mówiliśmy oczywiście o Gertrudzie, księżnej z rodu Piastów. Żyła w XI w. ery chrześcijańskiej i była właścicielką sławnego w historii modlitewnika.

*

Ale od jakiej chwili zaczynać pamiętniki? Salvador Dali wygłupił się, co prawda za grube pieniądze, ze swoimi łzewrażeniami sprzed urodzenia.

Tak łatwo, w miarę upływu lat, przyjmuje się za wspomnienia własne to o czym się słyszało się z drugiej ręki. Rzeczywistość od złudzenia w tym względzie można odróżnić tylko siódmym zmysłem fotograficznej pamięci oderwanych obrazów. Utrwalają się one bezładnie. Np. dokładnie pamiętam okoliczności wśród których dowiedziałem się w Mohylowie o abdykacji Mikołaja II. Byłem wówczas pięcioletnim dzieckiem. Albo oficerowie sztabu generalnego, „stawki” cesarskiej. Byli weseli i zabawni i dla mnie życzliwi jako że wzdychali do moich bardzo ładnych i młodych wówczas ciotek. Potrafię ich opisać włącznie z połyskiem ich butów i zapachem wody kolońskiej. Byłem wówczas wytrawnym szantażystą i zażerałem się po kryjomu owocami osmażanymi w cukrze. Ale nie pamiętam ani jak się nazywały moje ofiary ani ich twarzy. Nie pamiętam też zupełnie mnóstwa efektownych zdarzeń rodzinnych z tego okresu. Natomiast, bardziej niż pamiętam, czuję, kształt i kolor wszystkich główniejszych odznaczeń rosyjskich. Ciężki jedwab wstążek, zimną gładkość emalii, metaliczny dotyk złota. Z powodów wiadomych chyba tylko Freudowi lubiłem lizać czerwone i szkliste krzyże św. Anny i św. Włodzimierza i starannie się

kryłem z tym dziwacznym upodobaniem.

A nade wszystko pamiętam, w pryzmacie dziecinnych przeżyć, atmosferę pierwszych czasów rewolucji rosyjskiej w Mohylewie. I znowu w oderwanych obrazach: X. Świętopełk-Mirski, który mnie chrzczył, w gronie Polaków, pod czerwonym transparentem, obok Noego judasz, który spowodował jego męczeńską śmierć w niezwykle w kilka miesięcy później: oficerowie „stawki” jeszcze w epoletach ale już z czerwonymi kokardami; kałmucka twarz gen. Kornikowa, stojącego w otwartym samochodzie; t. zw. tekińcy w ogromnych baranich czapkach: Kierenski, też w samochodzie ale siedzący. Zanudzałem starszych dopytywaniem się, dlaczego wódz naczelny nie ma ani bączka na czapce ani epoletów. Stryj Wacio powiedział że niczego innego nie można spodziewać się od adwokata o twarzy starej gumowej baby.

Potem, jesienią, przyjechali „matrosi”. Słowo „marynarz” nie ma dla mnie grozy rosyjskiego określenia „sławy i dumy rewolucji”. Też mógłbym ich rysować z pamięci. Zamordowanie gen. Duchonina. Trup jego, z wetkniętymi w usta papierosami wisiał przez kilka dni na dworcu w Mohyłowiu. Przyjaciółka mojej młodszej ciotki opowiadała o tym z wypiekami na twarzy.

To były rodzinne. Na ciasto wspomnień tego okresu składają się uczucie niepokoju, chóralne wrzaski tłumów na ulicy, ciągłe i niespodziewane przyjazdy i wyjazdy najbliższych, poczucie bezradności, chęć schowania się pod kołdrę, pokój babuni, gdzie stały na szafie słoje z konfiturami z cennych, białych truskawek, uczucie ulgi kiedy mnie przywożono dla bezpieczeństwa z Mohyłowa do odległej o kilkadziesiąt kilometrów Karabanówki, ulicznicy w zbyt wielkich, melonowatych hełmach, bijący się na ulicy.

Właściwie wszystko to nie są wspomnienia. Raczej kanwa podświadomości czy rejestr najgłębszych nawarstwień świadomości. Na codzien nie pamięta się o niej. Ożywają one natomiast z wyrazistością wyładowania elektrycznego przy zetknięciu się z podobnymi a nade wszystko autentycznymi opisami z tego okresu. O sile wrażenia decyduje chyba ich prawdziwość. Coś tak jak z licznikami Geigera. Jestem zupełnie nie czuły w tej dziedzinie na rzeczy „dęte” i robione, nawet jeżeli są napisane poprawnie czy - rzadziej - z talentem. Nudziłem się - i bardzo się tego wstydzilem - nad „Cichym Donem”. Nad resztą sowmakulatury na tematy wojny domowej nawet się nie wstydzilem. Wyjątkiem było tu „Choźdienije po mukam” Tołstoja, z wyjątkiem agitek ostatnich rozdziałów.

Automatyczny wskaźnik wzruszeń drgał za to przy czytaniu książek niesłusznie dziś zapomnianego Jerzego Bandrowskiego. „Niezwalczone sztandary”, „Wściekle psy”... Dzięki nim polubiłem nawet, na kredyt, Czechów, póki się z nimi nie zetknąłem osobiście w wiele lat później.

Przy Melchiorze Wańkowiezu Geiger nie funkcjonował. Cukier krzepi, ale nie mnie. Nagle igła wychyliła się gwałtownie przy czytaniu ostatniej powieści Łobodowskiego*).

*) Józef Łobodowski. *Komysze*. Powieść. Londyn, „Gryf”, 1955; str. 333 i 1nl.

Fabula tej długiej, miejscami przydługiej książki jest prosta. Jest to historia kilku ostatnich miesięcy życia trzynastoletniego Stasia Majewskiego, syna pułkownika armii carskiej, zagubionego wraz z rodziną w małym porcie na Kubaniu w pierwszych latach rewolucji.

Z ucznia drugiej klasy Staś stał się chlebobdawcą swojej rodziny jako uliczny sprzedawca papierosów. Nieuchronnie wdaje się w kunszachy z miejscowym „podpoljem” - anarchicznym i półkryminalnym elementem. Ginie od przypadkowej kuli, podczas ataku t. zw. „zielonych”, zdecydowanych przestępców, na kryjówkę jego przyjaciół.

Sienkiewiczowskie natchnienia i reminiscencje powieściowe są jawne. Staś został wyposażony nawet w odpowiednik Nel z „W pustyni i w puszczy”. Jest to Szurka, starsza od niego o dwa lata papierosiarka i jego nie skonsumowana technicznie kochanka.

Może dzięki tej genealogii pierwszoplanowe postaci są blade i stereotypowe. Nawet Szurka, najbardziej udana i psychologicznie i literacko, przywdziewa przy każdej okazji, w miarę rozwoju akcji, cukierkowane cnoty rezolutnego „Hajduczka”. Posiada też, co prawda, smukłą i opaloną urodę oglądaną przez bohatera wielokrotnie w stanie niezupełnie niewinnej i niczym nie osłoniętej nagości. O matce i siostrach Stasia nie dowiadujemy się niczego. O ojcu mało i niczego ciekawego. Ale nie o nich chodzi.

Prawdziwym bohaterem powieści jest chaos rewolucyjny. „Wujcio Jasio”, katorżnik rewolucyjny i dowódca miejscowej milicji, pijani marynarze i „czyści” bolszewicy, sprośny lichwiarz Fiłaktiet Arkadjewicz i bajzelmama Kruczynicha z dwiema córkami, byli dworzanie cesarscy przycupnięci przed bolszewikami na południu, pierwsi w mieście przedstawiciele Czeka z Nachiczewania czy Rostowa, w skórzanych kurtkach. Przelewa się tłum różnobarwny i różnojęzyczny południowego, podkaukaskiego pogranicza cesarstwa. Czerwone bale i pogrzeby i nieudane jeszcze wyprawy konne przeciw kozackim stanicom. Zamierający świat mieszczańskiej Rosji, tych kilka miesięcy kiedy wreszcie żyło się w Rosji grzesznie i dziko ale swobodnie. Obrazy Łobodowskiego są prawdziwe i urzekające.

Autor nie wypowiada się jako obrońca jakiegokolwiek partii czy kierunku. Bolszewicy, „dienikinowcy”, „komyszewcy” i „zieloni” popełniają takie same albo bardzo do siebie podobne bestialstwa i zbrodnie i podobnie, w pewnym sensie, są nieświadomi zła. Trudno jest oskarżać tygrysa o niski poziom etyczny.

Tam gdzie postaci Łobodowskiego narysowane są w kilku zdaniach, spontanicznie, są one żywe i ciekawe. Wspaniałe są dzieci i подростки otrzaskane z morderstwami, płcią i wódką i mimo to jeszcze i ciągle dzieci. Tylko że niestety w miarę „pogłębiania” i sublimacji zamieniają się one w tekturowych Kmiciców i Oleńki.

Powieść Łobodowskiego aż kapie od erotyzmu, tak dziecięcego jak dojrzałego. Jest on jednakże historycznie nieodzownym składnikiem prawdy artystycznej a nie kompensacyjnym ćwiczeniem,

jak np. u Choynowskiego w „Miłości, młodości i awanturze”. Symbolem pierwszych „heroicznych” lat rewolucji byli jednak Kołłontaj i Dybienko, jej najlepiej znany „wremienschik” o wypomadowanych puklach włosów i przepasany taśmami naboju do karabinów maszynowych. Byli nimi także Szczors i Czapałow. Zimni i nudni mordercy przyszli potem.

Nie znam, niestety, ani Ukrainy ani podkawkaskiego Kubania. I tu należy się wdzięczność Łobodowskiemu za obraz tych bujnych otwartych stron. Wizerunek ich pod jego piórem jest równie przekonujący poetycko jak obraz rewolucji.

W tym też sensie „Komysze” są raczej historią, pamiętnikarstwem aniżeli literaturą. Tak czy inaczej są one godne przeczytania i, o co autorowi na pewno chodzi znacznie bardziej, zakupienia.